



DAGA

Daga może stać się czymś ciekawym, może wyewoluować w coś bardzo kontrowersyjnego. Pozwólcie jej na to - przeczytajcie, oceńcie, mieszajcie z błotem lub pochwalcie. Dziękuję.

Daga może stać się czymś ciekawym, może wyewoluować w coś bardzo kontrowersyjnego. Pozwólcie jej na to - przeczytajcie, oceńcie, mieszajcie z błotem lub pochwalcie. Dziękuję.

Spoglądał na nią ten sam wzrok. Dziwny, pusty. Szara twarz, rozlana na czaszce twarz podstarzałej kobiety. *Matka nigdy nie wyglądała tak źle* – pomyślała. Podeszła do niej i przytuliła, szare płótno jej codziennej sukni nawet nie drgnęło. Nie miała chociażby znikomej świadomości, że jej – jedyna, ostała – córka tuli ją czule, wlewając łzy w posiwiałe, wypadające włosy. Były jak wodorosty, którym jakiś wybryk natury odebrał czarny pigment. Gdy oddaliła od niej twarz ponownie ujrzała tylko pustkę. Tępy wyraz, zeschnięte usta, ona się starzała, była żywym trupem, ofiarą ciężkiego życia, które miało stać się jeszcze trudniejsze. Szare pomieszczenie, spleśniałe ściany, które jako jedyne nadawały temu jakiś kolor. Wyglądały jak zielone mchy leśne. Sień, pokój. Bieda wylewała się z każdej możliwej szczeliny. Zdechłe gryzonie pałętały się wszędzie, nawet wygłodniały kot – kierowany naturalnym instynktem – nie tykał się ich. *Zatrute* – myślała dziewczyna, *jak my*. Struci życiem, struci biedą. Tylko jedna mysz ciągle biegała i szukała resztek. Dziewczyna mogła by przysiąc, że widziała jak zdechła. Miała takie charakterne znamię na łebku. Smolisty kocur zupełnie nie zwracał na nią uwagi. Stary komin, pamiętający jeszcze poprzedni wiek, ledwo żył. Zalany popiołkami pożywienia, jakąś namiastką tego czego stworzył dla nich Bóg. Istnie zorany różnorodnymi plamami, tłustymi, śmierdzącymi. Czerń skonstrastowana w ciemno czerwona papka. Każde „danie” smakowało tak samo.

Dziewczyna wraz z Matką nie jadły od dwóch dni. *Sąsiad miał przyjść, po zbiorach już* – mówiła do Matki. Mówiła z przyzwyczajenia, by zupełnie nie oszaleć. Od jakiś dwóch lat nie usłyszała odpowiedzi. Matka i jej choroba. Niewytłumaczone otępienie, żaden lekarz, znachor nie był w stanie wytłumaczyć dolegliwości Pani Koźlej. Nawet warzywo było bardziej ludzkie, czasem wydawało się dziewczynie, że polny ziemniak jest bardziej rozmowny, bo słyszała jak odpowiada. Jednostajny żywot, pożywienie, sen, pożywienie, sen a w przerwach między tym bezinteresowne siedzenie, stanie. Marnotrawstwo tlenu. Najgorsze były oczy. Młoda kobieta patrzyła na dwa zapadnięte oczodoły. Dwie studnie, na których końcu widać było promyk, załazek świeżego źródła. Pragnienie komunikacji, jakiegokolwiek, powiedz coś kobieto, daj jakiś

znak! Krzyczała na nią, biła, bez rezultatu. Próbował sąsiad, próbował miejscowy ksiądz – samozwańczy ksiądz, bez wiedzy teologicznej, podpierający się ogromną wiarą.

To było Polskie lato 1938 roku. Dagmara wzięła Matkę pod rękę, siłą wyciągnęła – wtedy jeszcze – w miarę porozumiewawczą rodzicielkę. Ta niekończąca się szosa porozsiewanych skapo drzew, i jeszcze mniej domostw. Ludzie wiedzieli i współczuli. Widząc Koźlową na ulice wybiegła przyjaciółka sprzed lat. *Chryste Panie!* – krzyknęła, a córka chorej ruchem głowy wyraziła swą złość. To wykiwane „nie” było jednoczesnym znakiem, by sobie poszła, jak i prośbą o pomoc. Młoda Dagmara szarpnęła suchą, bezwładną rękę i poszły dalej. *Toż to tyle lat...* – szeptała kobieta i w szoku stała rozkraczona na środku błocistej od deszczu uliczki. Lekki deszcz zgrał się ze łzami, lecz łatwo było odróżnić je od niebiańskiej cieczy. A w oddali, w ciemniejącej mżawce zmieniającej się w mgłę, znikwały powoli dwie przytulone do siebie postacie – Matka i Córka. Minęły już krzyżówkę, po drodze Dagmara rozmyślała, jak zwykle sporo mówiła, i jak zwykle praktycznie nie słyszała nic w zamian. Tylko ciche pomrukiwania, które były już jednym z ostatnich stadiów pogłębiającego się, dziwnego schorzenia. Dagmara mówiła tylko w obecności Matki, to dziwne. Spotykała mnóstwo ludzi, odwiedzali ją sąsiedzi, sąsiadki. Lecz o wszystkim mówiła tylko chorej, jak za dawnych lat. Paradoks – chyba wołała, by nikt nie argumentował jej myśli, czasem bardzo specyficznych, bowiem taka była też Dagmara. Cicha myszka, która gdy tylko zamykały się – otworzone przez kogoś drzwi – rozgadywała się nagle, klepiąc jadaczką w jakimś dziwnym transie. Chciała pozostawić złudzenie normalności, kto wie, może w myślach sama dopowiadała sobie odpowiedzi Matki? Odpowiedzi, które stawały się jej odpowiedziami, monolog, w którym widziała dwie osoby, teatr jednego aktora z otumanioną publiką mogącą tylko patrzeć.

Kościół prezentował się nad wyraz okazale. Już samo wejście, ogromne wrota zdobione wstawkami mającymi podkreślić wzniosłość sytuacji, wejście w objęcia Pana. Świątynia nie była może duża, lecz wszechobecny przepych nadawał jej pewnej charakterologii. Marmurowe misy, z wyrzeźbionymi przez dziesiątki lat wodnymi, świętymi szlaczkami. Ścienne płótna, z wyszytymi scenami, mającymi prezentować jak to naprawdę było. Woda przemieniona w wino, mnóstwo chleba, dostatek, który stał się tutaj niemal zapomnianym słowem. W głównej Sali, zaraz przy ołtarzu – mimo braku miejsca – gęsto rozmieszczone były wygodne ławeczki z puchowymi oparciami. Między masywnymi, czterema filarami przebiegały korytarze, a naprzeciw nich wisiały ścienne rzeźby przedstawiające drogę krzyżową. Chrystus wydawał się na nich bardziej cierpiący. Bardziej upadający, mocniej powstający. Krew lała się gęściej, a Maryja łkała jak nigdy. Dyptyk znów to istne ucieleśnienie nieupadłej Boskości. Złote wernisaże, fioletowe wstawki, prawdziwy obraz chrześcijaństwa z służącym ludziom kapłanem. Dagmarę zawsze przerażał ogromny krzyż. Nie potrafiła sprecyzować dlaczego i mocniej przytuliła się do Matki. Ksiądz wyszedł czym prędzej z zachrystii, jak zwykle pośpieszny, zadbany, lekko roztargniony. Spoglądał na nie łagodnie, przywitał i zaprosił na zaplecze. Przechodząc obok, wysoko zawieszonego, znaku wiary dziewczyna spojrzała bezwarunkowo w górę i od razu się skuliła. Majestat cierpiącego Pana przygniótł ją, stłamsił.

Jego oczy, cierpiące. Nie widziała w nich jednak pokory, wybaczenia, lecz jakąś piekielną złość. Jak by Jezus naprawdę chciał aby stał się cud. Jak gdyby pragnął z całych sił zejść z krzyża z pomocą Ojca i pomścić krwawo oprawców. Żle patrzył na nią, źle widział jej przyszłość, a ona o tym wiedziała, czuła podskórnie i straszliwie się bała. Przyspieszyła kroku co by jak najprędzej opuścić pole widzenia męczennika.

Ojciec Weneriusz wiedział, że idą. Nie usłyszał ich kroków, ani otwarcia majestatycznych wrót. Dokładnie znał godzinę, czas. Wyszedł ze swojego małego królestwa w królestwie swego Pana o idealnej porze, z perfekcyjnym wyczuciem. Szli we troje przez mały kamienny korytarzyk – on żwawo, one ślamazarnie. Wydawało się, że jest on ich przewodnikiem ukazujący skromność swych progów. Z podkreśleniem słowa swych, bo przecież reszta kościoła to nieomylna własność Pana. Zezłoszczonego Boga gniewu. *Skąd Ojciec ... ?* – zapytała; *Miałem wizję Dagmaro* – odpowiedział na zaś. Mówił tak często, w czasie mszy, w czasie indywidualnych audiencji, w przypadku spaceru po lesie z grzesznikiem. Gdy dziewczyna zobaczyła pedantycznie czystą zachrystię wróciły złe wspomnienia. Lekko zwolniła kroku, ale ze względu na dobro Matki odważyła się pójść dalej. *Usiądźcie* – mruknął Ojciec. *Proszę księdza ...* – po raz kolejny nie dokończyła myśli; *Usiądźcie i zaczekajcie co łąska*. Tak zrobiły i usadowiły się na twardych, drewnianych krzesłach, wyjątkowo niewygodnych. Dagmara wierciła się jak szalona. Było jej tu źle, bez wątpienia. Duszący zapach, specyficzny dla wszechobecnego prastarego kamienia, ta wilgotność powietrza z obecną parą przy każdym wypowiedzianym słowie. Poślanie – Dagmara zakrywa oczy i wkłada w nie palce, nie chce dopuścić by otworzyły się w przypiływie szeptu czegoś złego. *Zrób to, przypomnij sobie, koszmar powrócił, czy tego chcesz czy nie*. Mrowienie na jej smukłych ramionach było na tyle mocne, że aż odwróciła się gwałtownie, nie wzruszając tym zupełnie swej ospalej, najbliższej towarzyszkii. Ulega pokusie i spogląda na stół, na te cholerne krzesła, tą słabiutką lampkę, błogosławioną lampkę, której nikłe światło pozwalało żyć w mroku agonii, bez pełnej świadomości tego co się działo. Widzi malunki ściennie, widzi szafę, drewniane, obite gwoździakami komody z charakterystycznymi, miękkimi zagięciami na rogach. Patrzy na obrazy, wierne kopie, oryginały, kopie oryginałów, czy kopie kopii. Świętość aż z nich kipi, a oczy Jana, Maryi, Tomasza i innych są spokojne, krajobrazy kojące, w odcieni spokojnej zieleni. Widzi małe drzwi ...

Przyniosłem coś – wchodzi małymi kroczkami. *Niech Twoja Matula czym prędzej wypije. Nie jestem w stanie zagwarantować efektów, pewnych efektów. Woda święcona z karwali Niezejskiej to dowód na istnienie czegoś więcej, to trzyma mnie przy tym cóż teraz czynie* – mówił z natchnieniem, pewnością siebie, ale pocił się niemiłosiernie. W pomieszczeniu mimo wysokiej temperatury na zewnątrz panowała bardzo komfortowa aura ... pod tym względem. Słona krople lały się po jego zmarszczonym jak wydmy czole. Kapały. Nieskazitelną mowy mógł zachwiać wygląd właśnie. Perfekcyjny mówca z okropną prezencją. Perfekcyjny kłamca z jedynym dowodem kręactwa. Dagmara wyciągnęła nieśmiało swą słabiutką dłoń. Weneriusz zrobił podobnie przekazując małą szklaną fiolkę. Zakurzona, z łacińskimi bazgrołami

wypisanymi na prostokątnym skrawku papieru. Nawet człowiek kompetentny w dziedzinie łaciny z trudem by się doczytał. Dagmara unikała wzroku mężczyzny. On robił podobnie, lecz zachował się w nim swoisty element pewnego spojrzenia. Umiejętnie mieszał swe postawy by ogłupić jeszcze bardziej, ciemny już przecież, lud. Gdy ich dłonie – jej malutka, jego duża, mocno owłosiona i mokra – styknęły się poprzez fiolkę, poprzez świętą wodę, dla Dagmary świat na chwilę się zatrzymał. Może rzeczywiście trwało to chwilę, kilka sekund, całkiem możliwe, że niezręczna cisza, sytuacja trwała jakiś ich ułamek. Nie wiedziała. By uniknąć linii wzroku patrzyła w te malutkie drzwi. Przeciwnieństwo wrót sprzed świątyni. Bez schylania mogło co najwyżej zmieścić się tam dziecko. Gruba, zardzewiała już lekko, kłódka tworzyła złudzenie niedostępności. Zakazu. Grzechu pierwородnego. Nie rusz! Nie wejdź! Brakowało tylko węża i jabłka. Od młodzieńczych, beztroskich lat gdy wraz z innymi przesiadywała tu, nawet by się ochłodzić zastanawiała ją te mikroskopijne – w skali innych z kościoła – wrota. Ojciec Weneriusz nie protestował, z chęcią przyjmował każdego i zabierał się dalej za swe obowiązki. Dzieci latały beztrosko, dotykały krzyże, obrazy – wciąż te same od kilkunastu lat. Chodziły po stole i skakały z niego na krzesła. Raz któreś wylało cały flakon mszalnego wina, lecz ksiądz nie oburzył się zupełnie. Zawsze opanowany. Czerwona ciecz majestatycznie wtopiła się między szpary kamiennej podłogi i kapąła. Tak, Dagmara doskonale to pamięta, kapąła. Miarowe – plusk, plusk plusk. Może to starodawne tunele pod kościołem? Lochy dla niewiernych? Wyobrażnia dziecięca. Tak samo mówili rodzice, gdy ich pociechy z niemąłą ekscytacją opowiadały im wszystko przy wieczornej, skromnej kolacji.

Dagmara otrząsnęła się, przemogła i obojętnymi oczami przeszła stojącego nad nią człowieka. *Dziękuję Ojc...* – wyrwała flakonik, szarpnęła Matką i szybkim krokiem udała się do tylnego wyjścia zachrystii. Nie chciała ponownie spoglądać na krzyż. Idąc nieopodal za kościelnego cmentarza załkała. Córka szlochnęła potwornym płaczem przy swej Matce, która pozostała na to obojętna. To jeszcze bardziej nasiliło ból. Deszcz znikł. Na małym miejscu spoczynku widniało kilka pomników. Kamienne tablice, zaniedbane, oblaźłe pleśnią. Jakieś bazgrołne daty, bezsensowne wysiłki sentencji, nazwiska, o których dziewczyna nigdy nie słyszała. A w tle czarny gaj. Wpatrzona w nią oczy natury. Zmieszana doszczętnie, ze wspomnieniami, których wolałaby nie wspominać, już nigdy, szła pod rękę z kimś. Z kimś nieznanym. Osobą znajomą z twarzy, fizycznie. Tylko.

Bóg nie dał swego znaku, nie przyczynił się do uwierzenia w niego, do pozyskał kolejnego wiernego. Karwalia Niezejska – miejsce cud. Kwintesencja tego słowa. Wieś gdzie ślepcy widzą lepiej od zdrowych, a głusi słyszą jak psy. Starcy za sprawą świętej wody przeżywają którąś z rzędu młodość, dzieci rodzą się na potęgę. Karwalia Niezejska z prywatną fabryką świętości, z własnościowym jeziorkiem dziwów, gdzie – jak głosi legenda – utopiło się cudowne dziecko, a potem przyszło na kolejną sumę. Przy okazji kładąc na kolana całą mszę, z księdzem włącznie. Ludzie modlili się ponoć przez kilka dni, bez przerwy, mając nadzieje na uczestniczenie w czymś wyjątkowym. Chcieli to poczuć i to czuli, znak od Boga. Boska interwencja, wreszcie!

Zupełnie inaczej było z Panią Koziel. Wybryk Boga, żart – woda nie zadziałała. Dagmara czekała dzień. Czekala dwa dni. Ta dorosła nastolatka wpatrywała się w Matkę przez kilka dni. Z wielką nadzieją patrzyła na porozumiewawczy ruch obumartem gałki ocznej, na wymowny gest, na cokolwiek. Z każdą godziną dostawała szału, demolowała mieszkanie, oberwało się każdemu możliwemu miejscu w tym malutkim lokum. *Znów mnie oszukał, szarlatan chodzący po świętej ziemi!* – ryczała, łącząc krzyk z płaczem, wręcz wyciem. Przekleństwa sypały się ostro, dziewczyna usiadła koło Matrony, zrezygnowana oparła się o jej suche ramie, bijąc ją przy okazji głową. Charcząc, w jakimś psychicznym transie biła ile sił w czaszce. Bezbronna, a bardziej bez świadoma, ofiara upadła na podłogę płosząc ciągle żywą myszkę. Dagmara wstała i ujrzała. Niegdyś silna, zahartowana kobieta-symbol dziś nie może nawet wstać z podłogi. Dno fizyczne, miałość, żal, żal, robactwo. Cieleśność, siła porównywalna do upadku duchowego, do mentalnej zapaści osobowości, zezwierzęcenia. Alkoholik zapijający się na śmierć. Gwałcieł napastujący kolejną ofiarę. Morderca z nożem ponownie brudnym od ludzkiej krwi. To widziała dziewczyna – niejasna chwila wywyższenia, ponownie ten zły głos, nieprzyjazny omen szemrający za uchem. Nie miała siły płakać. Przyciśniętemu gardłu nie towarzyszyły, więc potoki gorzkich kropli. Basta! Lecąca otwarta dłoń. Cios. Cios wymierzony przeciwko sobie, a bardziej temu stojącemu z tyłu. Otrząsnęła się, nachyliła mocno i zaczęła podnosić bezsilną kobiecinę. Mimo choroby, a co za tym idzie nagminnego spadku wagi nadal ważyła kilkadziesiąt dobrych kilogramów. *No, choć tu, już nie gniewaj się, pamiętaj to ja Dagmara, Twoja jedyna ostała córka ...*

.....

.....

Poszukiwanie zaginionego Ojca degenerata to zazwyczaj rzecz wielce dyskomfortowa. Dagmarę zbudziło szturchanie Matki – *Ojca nie było na noc, mówią że zasnął gdzieś*. Córka zbierała się beznamietnie, jakby zaginał, dopiero co przygarnięty, stary pies, który mógł już odliczać swoje ostatnie dni. Zwierzę ze swoją ostatnią drogą, podróżą ku końcu. Zwierzę, które oszczędziło wysiłku, wstydu swoim Paniom. *Który to już raz Matko? Wstyd już dawno stał się w naszym domu chlebem powszednim, zostawmy go, ja nigdzie się nie ruszam* – z wrodzoną zadziornością, i z nabytą wrogością, półkrzykiem, w akompaniamencie ostrej gestykulacji, powiedziała jedyna córka. Pani Koźla nie zareagowała, ubierając się spoglądała na zbuntowaną latorośl, na owoc, który nie chciał pomóc usychającej roślinie. Wymowny wzrok, spokojny i zaniepokojony – *Spójrzże za okno dziewczyno*. Dagmara szybko odgarnęła płóciennę, czarne zasłony. Za nieszczelnym oknem ujrzała środek zimy, nocną zamieć o średniej sile. Pobliskie, puste jabłonki bujały swe suche gałęzie to w lewo to w prawo. Śnieg zmieszany z lodowatym deszczem oszronił bulaj, ograniczając widok. W głowie Dagmary zaczęły rodzić się chore myśli, urzeczywistniające się w pejzażu przed jej wielkimi, ciemnymi oczyma. Człowiek po przebudzeniu, zdeorientowany, będący jeszcze na wpół we śnie, z jego nierealnymi zasadami, surrealistycznymi wizjami, przeciwieństwami będącymi odwrotnym odzwierciedleniem niedalekiej przyszłości. Ujrzała człowieka biegnącego na horyzoncie,

potykającego się o zasypane śniegiem nadwyżki terenu. *Matko to on! Ojciec!* – krzyknęła, aż ubierająca się ciągle kobieta zgubiła czapkę w nieoświetlonym domku. Za chwilę obydwie patrzyły w to samo miejsce, skupione w milczeniu, jak gdyby chciałby – jakimś cudem – usłyszeć charakterystyczne chrupanie po śniegu. Najlepiej przy domu. Najlepiej na schodach, przy drzwiach. – *Niech on będzie nawet i opity jak świnia, ale niechże wróci, poradzę sobie* – błagalnie szeptała opatulona już ciepło kobiecina.

Dziewczyna w ciepłym waciaku, szalu i dziurawej czapce wyszła pierwsza. W akompaniamencie świstu wiatru słyhać było mamrotanie drugiej – *druga czterdzieści*. Środek nocy, nie mogły czekać do rana, on nie mógł. W gruncie rzeczy mógł już w nim leżeć, na wieczny odpoczynek. Zasypany, najebany w trupa, znów dosłownie. Mógł być wszędzie i nigdzie. Matki nie zdziwiłoby wcale gdyby przyszedł zaraz jak gdyby nigdy nic, albo siedział w całonocnej, zatęchłej melinie piętnaście minut drogi stąd. Nie mogły jednak czekać – gdyby o zasłabnięciu ich Męża i Ojca powiedział kto inny uznałyby to za drastyczny żart, za kolejną pręgę wymierzoną w zabliznione plecy rodziny Koźłów. Racziwiłówna nie miała jednaka w zwyczaju takich niecných praktyk. Magiel uczuć pałętał się w nieszczelnie zasłoniętej głowie Dagmary. Pod bujną czupryną pałętał się gar trochę wymuszonej troski, zrezygnowania, niechęci i zażenowania. Zaspana była okropnie, lecz wzrok miała już ostry, był on zawsze jej atutem. Stały tak we dwie, ciągle mając chęć na powrót do ciepłego domu. *Daguś idź za tymże coś go widziała, tylko mi uważaj. Na sumieniu nie mam zamiaru mieć i Ciebie - troskliwie powiedziała Matka. A Ty?* – zapytała, nie mniej opiekuńczo córka. *Pójdę tam gdzie mówiła Racziwiłowa, jak nic nie znajdziesz przez godzinę to wracaj do domu, czym prędzej.* Natychmiast się rozeszły, niknąc gdzieś w odmętach zamieci i wymuszonej przez jasny śnieg, białej nocy.

On tapla się we własnych wymiotach. Ona w śniegu, w ciapie, która mimo niskiej temperatury jest śladem wczorajszych roztopów. Tarza się w nich, próbuje w alkoholowym upojeniu wstać, ruszyć się, przeżyć. Idzie potykając się o górki strąkowe, zasypane, niewidoczne. Spogląda na pole spętane przez zamieć. Spogląda z dołu na pole spętane przez tą samą. Nie ma świadomości tego, że może odmrozić ciało. Że jego kończyny trzeba będzie amputować, bo będą już tylko ciemnofioletową zbitką zmrożonego mięsa. Że wda się zakażenie toczące jego ciało. Zostanie kaleką na zawsze. Z psychicznego upośledzenia wykształci się drogą głupoty ułomność fizyczna. Bezradność. Zewsząd szkalowanie, docinki kolegów spod pseudo baru, pociski skierowane nawet od rodziny – nie będzie mógł liczyć na ich współczucie. Wrogie oczy Żony, wrogie oczy jedynej ostłej córki, latorośli, która chciała jeszcze kwitnąć wśród chwastów. Powolna, bolesna śmierć w bezruchu. To wszystko, jeśli przeżyje, jeśli nie zadławi się własnymi wymiotami/nie zamrze/zostanie odnaleziony w odpowiednim czasie/szkody nie będą aż tak wielkie, a możliwa amputacja powiedzie się, co jest wątpliwe zważywszy na umiejętności miejscowego lekarza. Jeśli ktoś jest od wszystkiego, jest do niczego, mówią. Ludzie z chorymi zwierzętami gospodarnymi nie narzekali.

A jednak ... wydał ostatni dech. Wypchnął ducha, zwymiotował duszę. Wraz z jego całym mentalnym dorobkiem, kulturą człowieczeństwa, iskrą Bożą leciały kawałki porannego pożywienia, kaszy gryczanej z tłuszczem. Żółć przybrała czerwonawy kolor. Obrzydliwy widok, który zupełnie nie przeszkadzał tajemniczej postaci. Grzebał w jego kieszeniach – w pustych kieszeniach, które ostatnimi czasy systematycznie opróżniały się z kosztowności ku drodze śmierci. Ku alkoholowej destrukcji organizmu i ducha. Ostro podniósł jego powieki. Puste oczy, zaciemnione, które jednak nadal lśniły blaskiem odbijającego się, mokrego śniegu, wykręcone. Z lekarską pewnością, bez chwili zastanowienia, przystawił ucho do zwiotczalej klatki piersiowej, przystawił palec do siennej skroni, uderzył w kolano. Badał go. Badał trupa. Robił obiektywnie specjalistyczną truchle, jak gdyby chciał zapobiec jego śmierci. Jak matka potrząsająca swoje zmarłe dziecko z nadzieją na cudne ocknięcie. Ocucenie. Zapisał coś w malutkim notesiku i wyciągnął grubą, długą linę. Patrząc na tą scenę z daleka zdawało się, że jeden mężczyzna próbuje pomóc wstać drugiemu. W tle księżycy widać było okrężne ruchy jednego, potem następne w drugą stronę, lekkie szarpania, dociski. Zrobił cztery, mocno zaciśnięte pętle, które zaczepił na łączeniach jego wychudzonych kończyn. Pociągnął mocno i prowadził jak żywe sanki, jak ścięte drzewo, roślinę. O trzeciej w nocy, w czasie zamieci śnieżnej, z temperaturą poniżej 14 stopni Celsjusza. Idąc zwartym, na tyle na ile pozwalała droga i ciągnące się za nim 80 kilogramowe ciało, krokiem zniknął w ciemności, pozostawiając tylko chwilowe ślady swoje oraz poziomo ułożonego kompana.

- *Ni ma go nigdzie, cholery, dawno się tak nie nalatałam jak dzisiejszej nocy* – ogrzewając córkę dłońmi mówiła Matka. Dagmara nie mówiąc nic miała podobne doświadczenia, potwierdziła obawy milczeniem. Tuliły się obie przy starym piecu, w którym gasł powoli ostatni płomyk. Jednak w nich ten sam ciągle płonął, a w zasadzie nigdy nie przygasał. Młoda dziewczyna nie była zmartwiona teraz, nie obawiała się podczas poszukiwań, nie lękała się jak obudziła ją Matka. Znała Ojca, jego degenerackie postępy stały się codziennością, a gdy miał porządny ciąg potrafił nachlać się i zrobić awanturę dwa razy dziennie. Teraz też kuliła się z zimna w silnym objęciu starszej kobiety i nie czuła nic. Bardziej problematyczne było dla niej to, że łóżko jest dostatecznie nierozgrzane, niż że jej rodzic leży w takim mniej wygodnym, lodowatym. Martwy. Zapadła cisza, w domu Koźlów, we wsi. Wysoka panorama pokazała ciemną miejscowość, bez ani grama światła. Jedynie w małym okienku zachrystii świecił mały płomień, nadzieja, która niedługo miała rzucić na wszystkich oniemiający blask.